



fot. catholic.com/Carlos Daniel

[Justyna Nowicka](#) 2024-03-03

21 min. zajmie Ci przeczytanie tego artykułu.

Świeccy konsekrowani. „To nie jest życie dla mięczaków” [ROZMOWA]

– Jeśli ktoś wie, kim jestem, wie, że jestem związana z Panem Jezusem, że jestem związana z Kościołem – to jego wymagania wobec mnie rosną. Także wtedy, kiedy jestem w zwykłych okolicznościach życia, kiedy załatwiam jakieś rzeczy to drugi człowiek oczekuje ode mnie, że będę kompatybilna z tym, co głosi Ewangelia i Kościół – mówi Anna, członkini Instytutu Świeckiego Wynagrodzicielek Serca Jezusa i Maryi.

Anna, wynagrodzicielka jest prawniczką i pracuje w jednej z instytucji zajmujących się pomocą społeczną. Od 15 lat jest osobą świecką konsekrowaną w Instytucie Świeckim Wynagrodzicielek Serca Jezusa i Maryi.

Justyna Nowicka (misyjne.pl): Czy w instytucie świeckim składa się jakieś śluby zakonne? Czy są to inne przyrzeczenia? Jak to wygląda?

Anna, wynagrodzicielka: – Ślubów zakonnych się nie składa, bo instytut nie jest zakonem, ale w ogóle śluby, czyli profesję rad ewangelicznych, się składa. W swojej istocie nasza profesja nie różni niczym od ślubów zakonnych. Też składamy śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa (po wielu latach formacji). Też składamy je na ręce przełożonego, czyli mają one charakter ślubów publicznych, nie prywatnych. Publiczne nie dlatego, że są składane przy udziale osób z zewnątrz, udział w tej uroczystości bierze (zasadniczo) tylko nasza wspólnota (choć ja akuratnie prosiłam o możliwość zaproszenie moich bliskich i tak się stało), ale właśnie w tym sensie, że nie są składane tylko w sercu przez Boga, ale także są wyrażane wobec przełożonych. To wszystko skutkuje tym, że w prawie kanonicznym ma to dokładnie takie same konsekwencje jak w przypadku zakonu.

Różnica między instytutem świeckim a zakonem zaczyna się wtedy, kiedy mówimy o sposobie realizacji tych ślubów na co dzień, w życiu. Tutaj ważne jest to, że nadal pozostajemy świeckimi, tyle że konsekrowanymi. Nie odchodzimy od świata – w zewnętrznym wymiarze, nie zmieniamy warunków życia. A jednocześnie wszystko ma się

zmienić. Można to porównać do zaczynu wrzuconego do ciasta. Nikt nam nie zabiera naszego środowiska, ale to, co się zaczyna dzieć, kiedy składamy śluby to ma bardzo wewnętrzny, głęboki, duchowy charakter. Cała codzienność staje się przemieniona mocą tego, do czego się zobowiązujemy.



fot. cathopic

A czy zewnętrznie są jakieś znaki tych ślubów? Habitu nie macie, bo bym zauważyła, ale może jest coś innego?

Zewnętrznie niewiele się zmienia. Nie dostajemy stroju, który by nas odróżniał. W naszym instytucie każda z nas dostaje krzyżyk i obrączkę albo pierścionek, który sobie sama wybiera. Nie mamy więc jednakowego znaku, ale wybieramy sobie taki symbol, który osobiście będzie nam przypominał kim jesteśmy i dla Kogo żyjemy.

To może jeszcze doprecyzujemy, czym życie osoby świeckiej konsekrowanej, należącej do instytutu, różni się od życia siostry bezhabitowej. Bo pewnie się czymś różni, prawda?

– Siostry bezhabitowe to jest nadal forma życia zakonnego. Natomiast instytuty świeckie to jest nadal forma życia świeckiego, chociaż konsekrowanego. Czymś, co może pomóc w rozróżnieniu jest to, że w zakonie istnieje obowiązek życia wspólnotowego. Natomiast w instytucie, co do zasady, jesteśmy posyłane indywidualnie. Nie żyjemy we wspólnotach, chociaż w mojej wspólnotie jest to możliwe. Naszym zadaniem jest pozostanie w sercu świata, i przemienianie tego świata, od wewnątrz, od strony zwyczajnych warunków życia, w których funkcjonują inni ludzie – pracy zawodowej, środowiska sąsiedzkiego, przyjacielskiego. Jakby „wtopienie się” się w proste życie. To zadanie pozostawiania „wewnątrz świata” sprawiło, że niektóre z instytutów nie mają swoich domów instytutowych. My domy instytutowe mamy. Wynika to historycznych konotacji, ponieważ, kiedy założyciel zakładał instytut i konsultował się z władzami, to znaczy z biskupami krakowskimi i ze swoimi przełożonymi, to warunkiem akceptacji tej nowej formy życia było to, że instytut będzie miał jakieś materialne zaplecze.

Funkcjonuje to w ten sposób, że utrzymanie takiego domu spoczywa po części na tych członkiniach, które mieszkają w domu instytutu. Jeśli wspólnota jest np. trzyosobowa, to łatwiej jest ten dom utrzymać. Ale jeżeli w domu mieszka jedna osoba, bo też mamy taką sytuację, wówczas wiadomo, że siłą rzeczy instytut ten dom utrzymuje. To jest także wymiar ubóstwa. Każda z nas, realizując ślub ubóstwa, oddaje część dochodów na potrzeby instytutu. Wówczas

odpowiedzialni, bo tak nazywamy naszych przełożonych, decydują na co te pieniądze są potrzebne.

Czyli tak jak w rodzinie.

Tak, można zrobić taką analogię. Czasami zdarza się tak, że któraś z nas na przykład choruje na raka, czy ma jakąś inną poważną chorobę, wtedy w jakimś mniejszym czy większym wymiarze, w zależności od potrzeb, wspólnota może i powinna pomóc.

Choć żyjemy w rozproszeniu, to jednak tworzymy wspólnotę życia braterskiego, czy w tym przypadku siostrzanego, i w związku z tym powstają więzi, które mają nas łączyć. Nie ma wspólnoty dachu, ale jest wspólnota charyzmatu, duchowości, myślenia i relacji. Oczywiście różnie wychodzi, bo jesteśmy w rozproszeniu, ale to jest pewien ideał. Do tego bardzo jasno zachęca nas Kościół.

W naszej rozmowie już kilka razy pojawiło się odniesienie do przełożonych, czyli odpowiedzialnych. A w jaki sposób wygląda to w praktyce, o czym przełożeni decydują? Czy trzeba pytać o jakieś codzienne rzeczy, o wydatki, o zakupy, czy o jakieś wyjazdy?

– Rzeczywiście jest tak, że pozostajemy w zależności. Raz w miesiącu spotykamy się ze swoją odpowiedzialną i rozmawiamy o tym, co się dzieje w naszym życiu, czym żyjemy i czym nie żyjemy, a powinniśmy żyć.

Nasze konstytucje precyzują, co wymaga zgody przełożonych, a w jakich aspektach możemy zachowywać wolność. Z racji tego, że żyjemy w rozproszeniu trudno pytać o pozwolenie w najbardziej prostych sprawach życia codziennego. Natomiast, jeśli mówimy na przykład o podjęciu studiów, o zmianie miejsca zamieszkania, o dużych remontach, o wyjazdach zagranicznych, czy o dłuższych urlopach – to wówczas uzgadniamy to z przełożonymi. Wspólnie staramy się rozeznaczyć, jaka jest wola Boża.



fot. cathopic

Ślub posłuszeństwa służy, by poznawać siebie i szukać tego, czego pragnie Pan Jezus. Czasami płaczemy się we własnych zachciankach i wikłamy się niepotrzebnie w jakieś sprawy, które wynikają z tego, że kierujemy się nieuporządkowanym w nas obszarem. Ten rodzaj zależności pomaga porządkować nasze myślenie, żeby rzeczywiście wybierać to, co rozeznajemy jako pochodzące od Boga. Rozeznawać mamy wspólnie, ja mogę i powinnam przedstawić, jak

widzę pewne sprawy, ale ślubując posłuszeństwo godzę się na to, że ostatni głos należy do odpowiedzialnej.

Rozeznawanie mocno należy do naszego sposobu życia, ponieważ żyjemy duchowością świętego Ignacego z Loyoli a u niego, jak refren, powtarza się zawsze, że mamy szukać i znajdować Pana Boga we wszystkim. Pana Boga dokładnie można spotkać we wszystkim i nie stoi na przeszkodzie, aby On był w różnych, czasami nawet dziwnych miejscach, które się normalnie wydają zupełnie „niekościelne”.

Które, w naszym rozumieniu, zupełnie „nie pasują”, żeby Boga w ogóle z nimi wiązać.

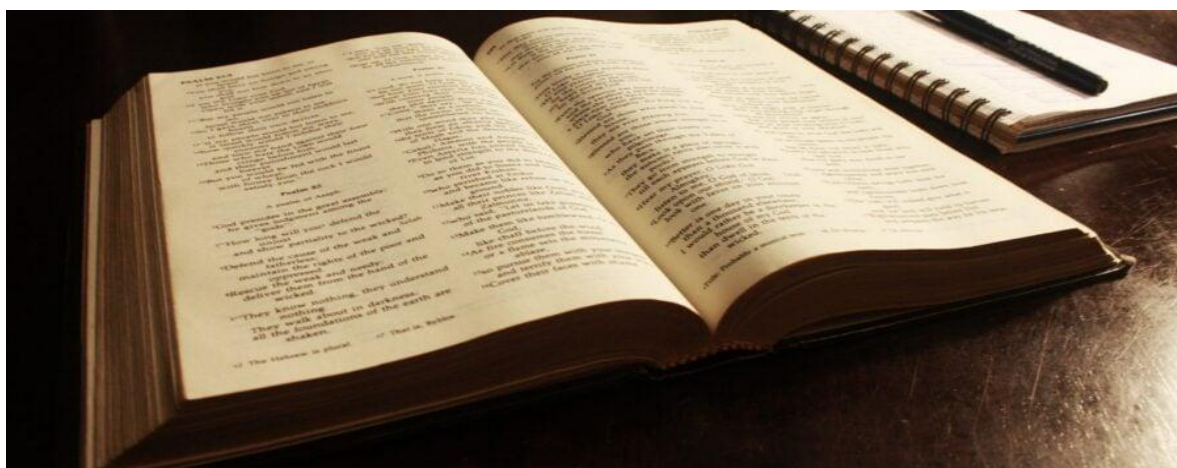
– Tak! Bardzo lubię tę myśl papieża Franciszka skierowaną do nas – że nasze powołanie to jest powołanie na granicy. To znaczy mamy być we wszystkich przedziwnych miejscach, okolicznościach życia, które „nie pasują” do Pana Boga. Bóg chce być wszędzie obecny i naszym zadaniem jest wprowadzenie Go, w sposób bardzo dyskretny, właśnie w te różne okoliczności.

To też ma chyba taki wymiar ubóstwa: rezygnuję z siebie. Pewnie nie zawsze chce się komuś opowiadać, tłumaczyć, że chcę takie czy inne zakupy zrobić. Tymczasem, opowiadając o tym przełożonej, trochę rezygnuje z tego, czego ja sama chcę, wierząc, że to służy czemuś większemu, prawda?

– Oczywiście, że tak. W jakimś wymiarze jest to rodzaj ascezy. Rezygnowania z siebie na rzecz wspólnego szukania, tego co lepiej służy realizacji mojego powołania. Rzeczywistość rad ewangelicznych trochę się zazębia, bo z jednej strony rezygnuję trochę ze swojej wolności i to jest wymiar ubóstwa, chociaż jest to także w płaszczyźnie posłuszeństwa. To system naczyń połączonych.

Jeszcze zapytam o inny, praktyczny wymiar Waszego życia. Czy mówicie rodzinie, znajomym w pracy, że jesteście osobami konsekrowanymi? Czy raczej to jest skryte?

– To zależy. Zasadniczo nasze powołanie jest powołaniem dyskretnym, czyli nie afiszujemy się nim specjalnie. Osobiście rozeznałam, że chcę, aby moi bliscy wiedzieli. Jest to dla nich ważne i to jest też ważne dla mnie. Część moich znajomych też o tym wie. W pracy nigdy nie mówiłam, ale niektórzy „czują pismo nosem”, na przykład pytają mnie, czy odmówiłam brewiarz, tylko za bardzo nie wiedzą jak to nazwać.



fot. pixabay

To teraz się dowiedzą.

– (śmiejąc) Ta zauważalna „inność”, w sensie pozytywnym, jest dla mnie ważna, bo w zasadzie taki jest sens naszego powołania. U mnie w pracy mówi się, że przy Ance się nie przeklina. To jest jakoś naturalne i ja też w sposób zwyczajny i normalny mówię, że idę na mszę świętą czy wyjeżdżam na rekolekcje. To jest element życia integralny z całą resztą, nie mogę więc o tym nie mówić. Bez tego byłabym singielką żyjącą w zwykłej rzeczywistości. A mam być znakiem wskazującym na Pana Jezusa, trochę jak poziomy znak na drodze – niby go nie widać, ale jest potrzebny, żeby dotrzeć do celu (kierowcy dobrze to rozumieją).

Zresztą, myślę, że dzisiejsze czasy sprawiają, że trzeba uważnie rozeznąć, w jakich okolicznościach mówić albo nie mówić o swoim powołaniu. Powód jest prosty. Dyskrecja może stać się swoistym sposobem na spokojne i bezproblemowe życie, bo jak nikt nie wie, kim jestem, to sobie żyję tak, jak mi się podoba i nikt się o nic nie czepia. Natomiast, jeśli ktoś wie, kim jestem, wie, że jestem związana z Panem Jezusem w sposób szczególny, poprzez moje śluby, że jestem związana z Kościołem – to jego wymagania wobec mnie rosną. Także wtedy, kiedy jestem w zwykłych okolicznościach życia, kiedy załatwiam jakieś rzeczy – to drugi człowiek oczekuje ode mnie, że będę kompatybilna z tym, co głosi Ewangelia i Kościół. To jest bardzo duże wyzwanie.

Bóg chce, żebym rozeznawała w moich okolicznościach życia. To nie jest tak, że „zawsze tak było” i tak zawsze ma zostać. Dyskrecja miała wcześniej swoje znaczenie w innych warunkach i historii. A dziś są inne warunki życia, i inne potrzeby...potrzeba elastyczności i duchowej ruchliwości, aby nadążać za Panem Jezusem, również w tym aspekcie.

To, o czym rozmawiamy, trochę obala mit o życiu konsekrowanym – że niektórzy wybierają taką formę życia, w której mają przełożonych, którzy mówią im, co mają robić, ponieważ uciekają od odpowiedzialności. Natomiast, kiedy rozmawiamy, to cały czas wybrzmiewa, że jest odpowiedzialność, że trzeba rozeznawać, że trzeba poznawać siebie i swoje życie.

– Ja tego w ogóle w ten sposób nie doświadczam. Dla mnie życie w posłuszeństwie jest doświadczeniem wolności. Już wyjaśniam, w jaki sposób to rozumiem. Będąc wolną osobą, korzystając z mojej wolności decyduję, że godzę się, aby w pewnych aspektach mojego życia, nie zawsze było tak, jak ja uważam, że jest najlepiej. Jest to jakiś zupełny paradoks. W wolności daję swoją wolność.



Relikwiarz św. Ignacego, fot. PAP/Albert Zawada

Nigdy nie miałam poczucia, że jestem bezwolną kukielką, która pyta, bo sama nie wie, co ma zrobić. Posłuszeństwo zakłada też cierpienie. Zdarza się tak, i to jest naturalne, że jakiś aspekt mojego życia widzę na swój sposób, idę do mojej odpowiedzialnej, a ona mówi: „Wiesz, ale ja to widzę w zupełnie inny sposób. Wydaje się, że na ten moment coś innego będzie dobre dla wspólnoty i dla ciebie”. Wiedząc, że ślubowałam posłuszeństwo, to przyjmuję tę decyzję, nawet jeśli ona jest trudna, bo jestem wierna wyborowi, którego dokonałam. Ale oczywiście nie jest to lekkie, łatwe i przyjemne. Mam też doświadczenie trudu posłuszeństwa. Wiem, ile mnie decyzja moich przełożonych kosztowała, nie wiem, dlaczego ta decyzja została wtedy w ten sposób podjęta. Natomiast wiem, że nawet jeśli przełożony podjął niewłaściwą decyzję, a ja się zgodziłam, to ja się nie mylę, bo jestem wierna danemu w ślubach słowu.

Może brzmi to górnolotnie, ale to jest moje osobiste doświadczenie – wielokrotnie się powtarzające. W posłuszeństwie Bóg błogosławi i prowadzi. Czasami po latach okazuje się, że tamta decyzja była słuszna, a ja to widzę dopiero teraz. Jesteśmy w procesie i w drodze. Nic nie dzieje się „na pstryczek” i dlatego potrzeba cierpliwości. Ważne jest także, by przez cały czas szukać znaków. Jeżeli nie jest się uważnym w czytaniu znaków, to można nie zauważyć, że Bóg w tym momencie mi pokazuje, że ta decyzja sprzed pięciu lat, która była dla mnie trudna, dzisiaj daje dobre owoce.

To oczywiście wymaga ciągłego kontaktu z Bogiem. Zresztą, taka jest przecież istota życia konsekrowanego – być w ciągłym kontakcie z Panem Bogiem. Czasami to się trochę rozmywa i zapominamy, że pierwszą rzeczą, do której jesteśmy powołane, jest zażyłość z Jezusem. Tak po prostu.

To bardzo mocno wybrzmiewa w naszym sposobie życia. Zakony swoje charyzmaty aktualizują zwykle przez dzieła; na przykład domy opieki społecznej, szpitale, przedszkola itd. My nie prowadzimy żadnych dzieł. Mówimy, że dzieło instytutu jest wszędzie tam, gdzie jest każda z wynagrodzicielek.

No właśnie, jesteście wynagrodzicielkami, ale komu i co wynagradzacie?

– Chodzi o miłość. Nasz założyciel, czyli ojciec Józef Kościsz, jezuita, bardzo mocno przejął się tym, że na świecie jest dużo zła. Bardzo bliskie były mu objawienia Serca Bożego, które miały miejsce między Jezusem a świętą Marią Małgorzatą Alacoque, oraz objawienia Matki Bożej Fatimie. Bardzo mocno obecna była tam problematyka grzechu i pokuty, ale nie to jest istotą, bo Jezus już wynagrodził za grzechy ludzi – umierając na krzyżu. Bóg nie oczekuje od nas spłacania żadnych długów.



fot. PAP/Piotr Nowak

W duchowości ignacjańskiej jest takie słowo *magis*, które oznacza „więcej”. I w wynagradzaniu chodzi o to, żeby nasze serce stawało się coraz bardziej gotowe na przyjmowanie miłości Pana Jezusa, wypełnione miłością do Niego i żeby z tego wypełnienia, z tego nadmiaru, móc wylewać miłość na innych. Takie miłowanie „więcej” i bardziej jest trochę jak cerowanie dziur. Dziś w świecie dzieją się różne trudne rzeczy i my jesteśmy powołane do tego, aby trochę te dziury, które są spowodowane złem, załatać – przez większą miłość.

Nasze powołanie jest bardzo proste i zwyczajne. Najczęściej tym, co dajemy, jest po prostu czas i obecność. Z perspektywy mojej pracy zawodowej obserwuję ten głód czasu i obecności. Czasami, kiedy idę na dyżur do interwencji kryzysowej albo ktoś przychodzi do mnie do pracy, to nic nie robię, tylko słucham i jeszcze zawsze w pogotowiu mam paczkę chusteczek. Pamiętam, że wiele lat temu jedna pani, która była u mnie kilka razy, powiedziała: „Przy pani to się dobrze płacze”. Myślę, że o to chodzi, aby obecnością i czułością po prostu trochę cerować dziury braku czasu, braku czułości, braku wysłuchania, braku dobroci.

Jest więc praca zawodowa, brewiarz... Co jeszcze składa się na codzienność świeckiej osoby konsekrowanej?

– Modlimy się codziennie słowem Bożym. Każda z nas wybiera sposób spotykania ze słowem Bożym; medytację ignacjańską, *lectio divina* czy jakąś inną formę. Oczywiście, codziennie Eucharystia, bo nie da się żyć i nie karmić się Jezusem. Mamy wspólne modlitwy, którymi modli się każda z nas w instytucie. Jest także modlitwa różańcowa. Ważny dla naszego życia duchowego jest rachunek sumienia. Nie w rozumieniu rachunku sumienia, który robimy przed spowiedzią, ale rachunku sumienia, o którym mówił święty Ignacy, czyli stawania codziennie w obecności Pana Boga, żeby zobaczyć, ile obdarowania się nam przydarzyło i w jaki sposób na to dobro odpowiadamy. Nie są nam obce ćwiczenia ignacjańskie i oczywiście kierownictwo duchowe. Ono w ogóle jest ważne, zwłaszcza, jeśli żyjemy zanurzone w świecie, a jednocześnie jesteśmy powołane do radykalnego przyłgnięcia do Pana Boga. Korzystanie z kierownictwa duchowego wydaje mi się nieodzowne, żeby dobrze funkcjonować i żeby mieć siłę na radykalne życie.

Na pewno od innych wspólnot życia konsekrowanego odróżnia nas praktyka godziny świętej, czyli modlitwa w każdy czwartek pomiędzy 23:00 a 24:00. O taką godzinę modlitwy prosił Jezus św. Małgorzatę Alacoque. Chcemy być z Jezusem w ogródcu jak anioł pocieszyciel. Kiedy inni śpią, kiedy zajmują się rozrywkami, my jesteśmy na modlitwie, żeby omadlać wszystkich ludzi i ich sprawy. A przede wszystkim, żeby towarzyszyć Jezusowi.

Co roku odprawiamy ośmiodniowe rekolekcje i dają je nam ojcowie jezuici. Przez założyciela i naszą duchowość, która ma rys ignacjański, jezuici wciąż nam towarzyszą.

Ale też odpoczywamy i mamy swoje pasje.... Równowaga w życiu jest ważna, nie można zapominać, że potrzeba nie tylko pracy i modlitwy, ale też zwykłego „oddechu”... urlopu, odpoczynku.

Mówiłaś o tym, że składane przez Was śluby nie zmieniają wiele zewnętrze, ale wewnętrznie owszem. A tak osobiście: co zmieniło się w tym wewnętrznym świecie

w konsekwencji profesji rad ewangelicznych? Trochę mówiłaś o zmianie patrzenia na świat i na ludzi.

– To są bardzo proste sprawy. Po pierwsze, moje życie stało się jeszcze bardziej nastawione na optykę Pana Boga, na słuchanie Go w mojej codzienności, życie Ewangelią, ale nie w wydumanej rzeczywistości, która ni jak nie przestaje do tego, co się wydarza codziennie. Próbuję znaleźć odniesienie w codziennych kontaktach z ludźmi, w rozmowach, spotkaniach, w byciu szefem dla moich współpracowników do słowa Bożego, które codziennie czytam.

Po drugie, życie ślubami daje mi świadomość, że Bóg mnie zaprosił, powołał i powiedział, że możliwe jest, żebym była z Nim w mistycznej łączności. I jednocześnie zaprosił mnie do tego, żebym była zanurzona w świecie, w którym żyję.

I po trzecie, moje śluby otworzyły mnie na aspekt dzieciństwa. Widzę, że Bóg jest dobry i czuły, i tak naprawdę do tego samego mnie zaprasza. Zaprasza mnie, żebym ja też była dobra i czuła. I w ten sposób aktualizowała Jego obecność w świecie. Lubię modlić się formułą naszej profesji. Są tam takie słowa: „Oddaję Ci się na całkowitą własność”. Dają mi one poczucie bezpieczeństwa, że jestem w rękach Boga. Cokolwiek by się nie działo, to On o mnie dba. Nawet jeżeli to wygląda inaczej niż ja bym sobie to wyobrażała.

To są dla mnie najważniejsze wymiary życia radami ewangelicznymi w świecie, chociaż jest to też wyzwanie. Trudno jest żyć radykalnie w dzisiejszym świecie. A z drugiej strony ten świat stworzony przez Pana Boga jest dobry, a my jesteśmy do niego posłane. Kościół przez swoje decyzje, zatwierdzając naszą formę życia i instytut, potwierdza, że takie życie jest możliwe. To znaczy, że rzeczywiście takie życie, chociaż często niełatwe i w zmaganiu, w walce, wciąż jest możliwe. Można żyć w sercu świata, a swoje serce, dzięki Łasce, na wyłączność, oddać Panu Jezusowi.

Paweł VI powiedział o nas, że jesteśmy alpinistami duchowymi – i coś w tym jest. Nie jest to życie dla mięczaków.



Justyna Nowicka

Doktor teologii. Interesuje się ewangelizacją w kontekście ponowoczesności. Ma słabość do duchowości karmelu i peryferii Kościoła. Lubi książki, las i ludzi.
Kontakt: justyna.nowicka@misyjnedrogi.pl

Źródło: <https://misyjne.pl/swieccy-konsekrowani-to-nie-jest-zycie-dla-mieczakow-rozmowa/>